

Zdzisław Skwarczyński

"Podróż" i "Disneyland" Stanisława Dygata

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 31, 37-55

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI

PODRÓŻ I DISNEYLAND STANISŁAWA DYGATA

Dwie pierwsze powieści (*Jeziro Bodeńskie* i *Pożegnania*), acz kontrowersyjnie przyjęte przez krytyków i publiczność, w istocie ustaliły pozycję autora i jego samego mogły umocnić w przekonaniu, że coś przecie nie najgorzej potrafi robić, że — choć nieufny wobec pisarstwa profesjonalnego, tym bardziej zaś profetycznego — może liczyć na nieprzypadkowe sukcesy. Wydaje się wszakże, że mimo to daleko było do autorskiej pewności siebie czy zadufania w spontaniczność uprawianej sztuki. Toteż w wypowiedziach publicznych autor manifestował postawę amatora i solidarność z czytelnikami.

Może nie bez znaczenia były wzrastające po 1949 r. dążenia do administracyjnego kierowania literaturą. Chyba instynktownie zachowując rezerwę wobec presji zawodu i presji wobec zawodowców, nie mógł przecie uchylić się nasz autor od próby intelektualnego minimum, od próby sprostania wytycznym, recepturom i zachętom. Była to wreszcie jedyna umiejętność, z której można było żyć.

Prawdopodobnie z wszystkich tych względów dziesięciolecie dzielące wydanie *Pożegnań* od *Podróży* było dla Dygata okresem ponownej szkoły pisarskiej, szkoły bardzo intensywnej i poświadczonej osiągnięciami na podjętą miarę.

Dygat — jak pamiętamy — stał się bardzo wziętym felietonistą o sporej skali możliwości i autorem opowiadań. Nie wzdrażał się przed uprawianiem godziwej dydaktyki społecznej w dziennikach i popołudniówkach. Atakował w sposób nieskomplikowany, zbliżający jego artykuły do porewolucyjnej felietonistyki radzieckiej, nieodpowiedzialność i mętlniaństwo poczynań, nudziarstwo, kacykostwo i niekompetencję, kumoterstwo — ale nie brakowało i tematów, jakie wyraziście zaznaczały klasową, narodową czy międzynarodową linię podziału. Odwoływał się w tym do powszechnych, ludowych kryteriów moralnych i poczucia humoru, pobudzonych przez zredukowaną do minimum psychologię i marionetkowość zachowań bohaterów rekrutowanych z doniesień prasowych i potocznych rozmów rodaków. Często zabie-

giem pisarskim był skrót i groteska, ale nie przestawała być chyba owa felietonistyka przez horyzont myślenia i dzięki efektem reakcji na nią prozą realizmu, swoistą odmianą realizmu socjalistycznego w historycznym już rozumieniu. Nie było wszakże w tej moralistyce — co zresztą pokątnie wytykano i brano pisarzowi za złe — osobistej zajadłości, choć nierzadko pełniła funkcję interwencyjną. Raczej właściwe jej było zdziwienie i politowanie nad głupotą i nikczemnością, spojrzenie pokrewne wielkim nowelistom, satyrykom i felietonistom rosyjskim z Czechowem na czele. Same uczucia i pragnienia poruszające bohaterów opowiadań i felietonów Dygata są ludzkie, jedynie formy wybierają śmieszne i groteskowe. Dziś ten właśnie składnik: humanistyczne zrozumienie przyrodzonego i pogłębiającego się kalectwa ludzkiego w manifestowaniu swych pragnień — ratuje od zapomnienia sprawę i tematy mało kogo emocjonujące, choć bywa, że nadal aktualne, bo zdążyliśmy się już przyzwyczaić do ich występowania i piętnowania. Mniej natomiast wyrozumienia niż dla indywidualnej głupoty, śmieszności lub grymasu i złości przejawia Dygat, gdy demaskuje te same rysy w zachowaniu zbiorowym.

Obok wspomnianej felietonistyki powstały w omawianym dziesięcioleciu opowiadania krótkie i najkrótsze, ni to obrazki, ni migawki, w których interes artystyczny zdawał się górować nad drętawą dydaktyką. Czytelnicy w prozie tej szukali odczucia, analogicznie do przynoszącej je lektury *Opowiadań profesora Tutki*, choć rzeczy Dygata nie stroniły od problemów mocno poruszających zbiorowość i przynosiły rozwiązania zgodne z potrzebą społeczności od podstaw budującej swe życie, tyle że pojęta ona była mniej sloganowo. Poczucie więzi narodowej i solidarności z krajem, odraza do kombinatorstwa przystrajającego się w emigrancki frazes bogoojczyźniany, pogarda dla zdrajców przejawiają się tam pozytywnie, po ludzku, bez nadużycia wielkich słów i bicia w dzwony, w sytuacjach powszednich.

Odnaleźć też może dociekliwy czytelnik w owych opowiadaniach zobiektywizowane problemy osobiste pisarza i remanenty spraw rozegranych w zasadzie w *Jeziorze Bodeńskim* i *Pożegnaniach*, a więc np. utraty w sensie socjalnym rodziców, domu, środowiska.

Jezioro Bodeńskie i *Pożegnania* ujawniły talent i możliwości autora, ciągnęła natomiast profesjonalna praktyka felietonisty rozwijała i umacniała sprawności. O ile tamte mogły być ze spontanicznych potrzeb wynikającym określeniem się wobec świata, to teraz określały go z zewnątrz każdorazowo stawiane zadania.

Mimo dominującego jeszcze w ówczesnych utworach Dygata nawyku narracji w pierwszej osobie często występuje identyfikujący się z autorem wszytkowiedzący narrator. Nawet jednak wtedy nie jest to wiedza bezwzględna czy bezwarunkowa. W zasadzie pisarz nie jest przeświadczony, że wszystko wie o swych postaciach, że nie jest dla niego tajemnicą żadne ich wewnętrzne poruszenie, że góruje nad nimi i ma prawo dyrygować. Przeciwnie, prawda o nich odsłania się przed nim stopniowo — i to chyba decyduje o uroku prozy Dygata dla czytelnika. Dyryguje tylko postaciami epizodycznie wprowadzonymi w pole światła przedstawionego. Wydaje się, że w ustawianych przez Dygata każdorazowo relacjach między autorem, narratorem, bohaterem i czytelnikiem istnieje jakaś odpowiedniość do zasadniczego pojmowania przezeń sposobów i możliwości społecznego porozumiewania się oraz poglądów na charakter psychicznego życia człowieka.

Zwracano uwagę na rys niezdobności czy też brak ściślej koordynacji między stanami duchowymi a zachowaniem jego bohaterów. Z pozycji pisarza można by to określić jako behawioryzm *à rebours*. Zewnętrzne zachowania, owszem, świadczą o życiu wewnętrznym osobnika, ale nie dorównują mu. Nie znaczy to, że jest ono głębsze lub wyrazistsze. Jest chyba nierozpoznawalne. W różnym stopniu w świadomość owego rozdźwięku między życiem wewnętrznym a zachowaniem wyposażeni są i główni bohaterowie powieści Dygata, ale bardzo często starają się przede wszystkim, by rozdźwięk załatać, by zapewnić swemu ja coś w rodzaju ciągłości i suwerenności. To tylko daje się rozpoznać i w tym chyba tylko przejawia się osobowość.

Inaczej mówiąc: życie psychiczne jednostki tworzą jedynie nawarstwiające się zinterioryzowane i eksterioryzowane w kontaktach z innymi osobnikami reakcje na społeczne dziedzictwo gatunku za pośrednictwem mowy i zachowań. Tak szczupłe jest pole manewru i wątkła podstawa suwerenności, z której pragnie jednostka usilnie wspiąć się w górę, stać indywidualnością i zamifestować swe istnienie. Toteż operacje psychologiczne pisarza sprowadzają się do ujawnienia zderzeń między tym, co funkcjonuje społecznie — zautonomizowane — w postaci mowy, gestu, sposobu bycia, a tym, co nigdy w pełni nierozpoznawalne, prawdopodobnie archetypiczne, nigdy nie zartykułowane przez osobnika należycie, skazane na przejawianie się w kształtach paradoksalnych, groteskowych, prawie zawsze lekko komicznych. Nie samo jednak wywoływanie komizmu jest celem autora, ale odkrywanie owych podpowierzchniowych zajęć psychologicznych.

Najogólniej o życiu psychicznym człowieka da się powiedzieć,

ze cechuje je marzenie o osiągnięciu większej wyrazistości sylwetki duchowej, sprawności w dążeniu do zapewnienia sobie suwerenności i przewagi — choćby pozornej, w kontaktach z innymi. Wszystko, co od tego oddala, jest klęską, ale zarazem lepszym osobniczej mitologii. Dzięki rodzącym się wtedy emocjom istniejemy z poczuciem ciągłości i względnej równowagi uzyskanej przez zaczepienie o jakiś transcendentny porządek, ład *quasi*-metafizyczny na miarę naszych potrzeb. Nie jest najważniejsze, że strukturalizuje się on w strzępy mitu, np. sprzedanego pierworództwa, wygnania z raju itp. Ten ład, odczuwany jako przedustawny, trącający fatalizmem, jest potoczną wersją determinizmu i pozwala cierpliwiej znosić niepowodzenia lub nieszczęścia, relatywizować własne poczynania wobec nadrzędnego ładu, dając nawet smak osobistej transcendencji. Koherencja i krytycyzm nie są warunkiem koniecznym; w głębiej czy intensywniej przeżywających naturach jest nim niekoherencja, napięcie sprzeczności, które usposabia fideistycznie.

Bohaterowie powieści Dygata nie są pod tym względem nadmiernie przeciążeni, jak zresztą chyba większość ludzi, których nie stać na nadmierne jątrzenie siebie samego. Na tyle są zatroskani, by osobowość trzymała się kupy, że nie przejawiają zbytnej chęci sprawdzenia czy koordynacji podstaw swej egzystencji. Są po prostu — jak się to powiada — przeciętnie zdrowi psychicznie.

Podróż Dygata — według jego własnego zeznania — powstała z największym trudem, co zastanawia po dziesięcioleciu wytężonej pracy pisarskiej wypełnionej sukcesami w dziedzinie felietonu i małych form prozatorskich. Nie bez podstaw zdaje się przypuszczenie, że kłopoty pisarza towarzyszące powstawaniu tego dzieła wynikały z antynomii sprawy najbardziej dlań osobistej i chęci tak zupełnego jej zobiektywizowania, by najmniej miała wspólnego z autorem. Taki zamiar wydaje się najbardziej uzasadniony po dwu poprzednich powieściach stawiających w centrum zainteresowania czytelnika postać narratora-autora.

Jak wiadomo, powieść jest opowiadana w pierwszej osobie, ale używają jej dwie postacie: narrator-autor i narrator-bohater rzeczywisty. Narracja autora tworzy właściwie tylko ramę dla narracji bohatera. W gruncie rzeczy bez tej ramy powieść może się prawie obejść, a zdawkowa kreacja narratora-autora jest bodaj najslabsza w dorobku autora. Po cóż tedy ją wprowadził? Otóż chyba, by odwrócić w pewnym stopniu uwagę czytelnika od postaci narratora-bohatera, z którą pisarza łączą najściślsze więzy, żeby uniemożliwić pospolitą identyfikację z sobą, ponieważ uznał

ją za kompromitującą. Mimo wszakże tych usiłowań, mimo nawet początkowego przeciwstawienia sobie bohatera-narratora i autora-narratora w końcu utożsamiają się ich postawy wobec życia.

Nie od rzeczy także będzie zauważyć, że krytyka przypisała na stałe narratorowi-autorowi i bohaterowi *Jezióra* status inteligenta ze świadomością jednostki korygującej na własną rękę świat. Było to ciężkie oskarżenie, kwalifikujące jego powieść do literatury rozrachunków inteligentkich, niezbyt wysoko szacowanej. Pozory prawdy po *Pożegnaniach* rozrosły się w zarzut — do dziś w krytyce pokutujący — egotyzmu. I z tych więc względów zwiększenie dystansu między autorem a bohaterem mogło być zabiegiem pożądanym.

Co zaś do egotyzmu, to jest on szczególnego rodzaju i tylko w atmosferze oskarżeń inteligencji upatrywano w nim próbę możliwej intelektualnej agresji. Bohaterowie *Jezióra* i *Pożegnań* są przede wszystkim outsiderami godzącymi się z rzeczywistością. Raczej doznają losu, niż nim kierują. Nie dążą do znalezienia się w centrum doniosłych wydarzeń.

I jeszcze jedno. Generacje, do których należał Dygat, poddane były w okresie swego dojrzewania szczególnej próbie historycznej. Niemal równolegle z procesami europejskimi także u nas mniej więcej od połowy dwudziestolecia międzywojennego rosła presja różnych form zbiorowości: narodu, państwa, organizacji politycznych, obdzierająca indywidualium ze złudnych praw. Humanizm mieszczański, produkt określonej formacji historycznej, której znamieniem był liberalizm ekonomicznie silniejszych, został gwałtownie zakwestionowany jako postawa przez zorganizowane ruchy masowe. Wyhodowanej przez mieszczaństwo jednostce mogło się wydawać, że to ona przede wszystkim jest obiektem ataku. Druga wojna światowa i wydarzenia, jakie po niej nastąpiły, mogły ją w tym mniemaniu umocnić. Ta forma świadomości i wartości osobniczej w infernalnym tyglu światowych zmagania na frontach i ich zapleczu najszybciej narażona była na zniszczenie.

Jej dotychczasowi nosiciele, kiedy z kontynentalnego rozgromu unieśli cało głowy, próbowali ideom historycznie ukształtowanym, mającym przede wszystkim znaczenie dla indywidualuów, ograniczony zaś walor społeczny, w krajach, które liberalizm i humanizm mieszczański zrodziły — nadać sens uniwersalny, a nawet odwołać się do mas. W trakcie zmagania o dobra elementarne próbowano zasugerować idee słuszne, ale — być może — osiągalne dla wszystkich dopiero w długotrwałym dialektycznym procesie historii. W Wielkiej Brytanii mianowicie sformułowano

nową *Deklarację Praw Człowieka* i przedstawiono ją jako jeden z celów wojny.

„Ożywieni troską o człowieka — pisał we wstępie do polskiej wersji deklaracji Antoni Słonimski (*Alfabet wspomnień*, „Polityka” nr 51/877 z 22 XII 1973 r.) — rozwijając inicjatywę H. G. Wellsa i sędziego Sankeya, opracowaliśmy [...] deklarację [...] która wśród narodów uciemnionych i walczących wyrasta dziś jako pragnienie łączące ludy ponad głowami państw”.

Z narazonego głównie na ataki frontalne Albionu dokument ten przesłany był do kraju. Z każdego punktu owego dekalogu, głoszącego prawo do życia i równość wobec prawa, wolność myśli i słowa, wolność osobistą, prawo do wiedzy, prawo do pracy, prawo do własności prywatnej, prawo do wolności poruszania się po świecie, wolność stanowienia praw, prawa i obowiązki obywatela, prawo jednostki w narodzie — drwiła rzeczywistość spowodowana totalitaryzmem, którego wojna była apogeum. W żadnym chyba punkcie deklaracja nie dawała ani indywidualom, ani ludom pojętym jako ich zbiór — szans podjęcia walki inaczej niż przez zaprzeczającą im organizację i zawieszenie praw jednostki. Inaczej podstawą i kresem postulowanej solidarności stawało się bezmierne cierpienie.

Powojenna sytuacja w świecie podzielonym na odmiennej zasadzie niż podczas trwania wojny nie przyniosła natychmiast rozluźnienia właściwego czasom pokojowym. Skurcze, jakich doznała Europa, ustępowały znacznie wolniej niż po pierwszej wojnie światowej. Nacjonalizmy zdawały się ustępować z pola. Nie podziały etniczne, choć do dziś żarzą się i wybuchają w postaci separatyzmów, rządziły. Państwa ograniczały swą suwerenność w takich organizacjach, jak np. ONZ czy EWG, w niewielkim jednak tylko stopniu i nie na rzecz jednostki. Daleko było do uniwersalnych wartości propagowanych przez idealistów. Zaostrzała się walka klasowa, ostatnia bariera dzieląca ludzi, ale nadal państwa były w niej rzecznikami. Jednostki nadal były porażone możliwością totalnego konfliktu i totalnego zniszczenia.

W końcu lat pięćdziesiątych, kiedy rozluźniły się podtrzymywane przez „jastrzębi” z Zachodu napięcia międzypaństwowe, dostrzeżono masową migrację ludzi, których o podobne skłonności niepodobna było posądzać. Ujawniło się jedno z napięć społecznych w dziedzinie nie zawsze obejmowanej uwagą państwa, nastawionego przeciw na realizację bardziej powszechnych dążeń.

Sytuacja pisarzy w tej właśnie dziedzinie była znacznie korzystniejsza niż masy przeciętnych obywateli. Ale tylko Dygat trafił swą *Podróżą* w sedno podejmując zagadnienia i zadania te-

rapeuty. Toteż autor twardo występujący w felietonach przeciw objawom kumoterstwa itp., w sprawie związanej ze swobodą poruszania się obywatela modyfikuje stanowisko. Żartobliwie przenosi ją na płaszczyznę psychologiczną. Bohater konkluduje swe rozważania:

Wyższe konieczności i wyższe mechanizmy na pewno rządzą światem oraz wszelkimi jego resortami i trudno w to wątpić od czasu, gdy nawet materialści w praktyce ukorzyli się przed nimi. Sądzę jednak, że ludzie powinni tym bardziej utrzymywać pomiędzy sobą relacje towarzyskie i stosować formuły honorowo-kurtuazyjne i bratersko-koleżeńskie, aby ratować tym swoje uwikłane w wyższe konieczności i wyższe mechanizmy człowieczeństwo, by dowodzić dumnie, że chociaż ciało spętane, duch pozostaje wolny.

Koncept proponujący zmianę regulaminowego zachowania straży granicznej wobec obywatela przypomina koncept z piosenki amerykańskich żołnierzy: *Kiss, my sergeant*.

Ponad niewątpliwą aktualność wznosiła się powieść uniwersalizmem horyzontu, dotykając zarazem głęboko zakotwiczonych w psychice pragnień i wyobrażeń kształtujących się i rozwijających się historycznie, podlegających też historycznej interpretacji.

Podróż jako metafora życia ludzkiego da się wywieść od stoików, ale spopularyzował ją i uaktywnił w świadomości ludów europejskich dopiero wiek XVIII: sentymentalisci, a później romantycy. Bodaj najrozleglejszy sens tej metaforze — jak to było powiedziane — nadał Laurence Sterne. Krytyk *Podróży* musi mieć to na uwadze jako jedną z najpoważniejszych przygód umysłowych Europejczyków kręgu śródziemnomorskiego, linię horyzontu przez niego wyznaczoną. Można by zastanawiać się nad różnicami powodującymi wybór tego właśnie dzieła dla paraleli, nie zaś np. *Wędrowek Childe Harolda*, ale to odrębny problem.

Niezadowolenie z własnego losu i pragnienie zmiany, odruchowy protest wobec przemocy determinantów odwiecznie towarzyszy Europejczykowi. Socjalizm zaspokaja tę potrzebę dając rozległe szanse awansu, ale obwarowując go interesem społecznym i podporządkowując klasowym celom. Operując zbiorami jednostek w gruncie rzeczy w przepływach między nimi stwarzał i mielizny. Taką mielizną jest warstwa niezbędna, ale z gruntu widzenia finalnych celów nie najcenniejsza. W praktyce licznie rozrastająca się monstrualnie, choć doktrynalnie skazana na historyczny zanik i z tego m.in. powodu nawykowo atakowana i deprecjonowana pod mianem biurokracji. Teoretycznie masom członków tej warstwy odmówione jest prawo awansu, a już z ca-

łą pewnością awansu historycznego. Dlatego bohater *Podróży* posuwa się do twierdzenia, że najgorzej jest wtedy, kiedy produkuje się masy średnich urzędników. A ponieważ i tych, co zwiedzeni pozorami statusu inteligenta opuścili szeregi klas — hegemonów ustroju, nie satysfakcjonuje na dłuższą metę, przeto gromadzi się niedostrzegany potencjał niezadowolenia, niezaspokojonych aspiracji osobniczych.

Bohater *Podróży* jest urzędnikiem. Choć zazdrościć mu może legion jego kolegów na prowincji, choć też autor wyposażył go w więcej niż przeciętną inteligencję i wrażliwość, nie odbiera mu to znamion reprezentatywności. Tkwi — jak oni wszyscy — na mieliźnie socjalnej i psychicznej, jest bowiem także outsiderem. Symbolem tego jest stanie w oknie.

Świat dąży ku doskonaleniu i choć ze straszliwym bólem i wśród piekielnych okropności, powoli obleka się w doskonałość, starając się walczyć ze wszystkim, usunąć wszystko, co mu w tym względzie staje na przeszkodzie. Powstają wielkie i piękne doktryny albo brzydkie i małe, żarliwi trybunowie wskazują palcem zło i zagrzewają do uznania ich, choćby przymocą. Ale nikt jeszcze nie wskazał z należytą siłą okropności, jaką jest byt średnich i niższych urzędników, nikt do tego zagadnienia nie przyłożył takiej wagi, jaka mu się należy. Nikt nie krzyknął jeszcze dostatecznie donośnym głosem, że każdy ustrój, w jakkolwiek piękne hasła by się stroił i jak piękne cele by wskazywał, jest zły i fałszywy, o ile produkuje ludzi stojących w oknie — powiada bohater powieści Dygata.

Pisarza wszakże obchodzi nie tyle samo miejsce urzędników w społecznej dialektyce dziejów. Mimo ironicznej emfazy, która u Dygata często pełni w innym ukształtowaniu stylistycznym funkcje mowy pozornie zależnej i zaznacza z dezynwolturą dystans narratora wobec postaci, można dalszy akapit wynurzeń bohatera potraktować serio. Powiada on:

Człowiek w młodzieńczym wieku marzy o swej przyszłości. Marzy o tym, żeby zostać inżynierem, artystą, lekarzem, wynalazcą, wielkim politykiem albo wybitnym podróżnikiem czy też znakomitym wojskowym. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się słyszeć, aby ktoś od najmłodszych lat marzył o tym, by zostać urzędnikiem średniego lub niższego stopnia. Jest to egzystencja przymusowa, a w mniemaniu delikwenta przypadkowa, ze strony losu represyjna, ale na szczęście przejściowa. To ostatnie złudzenie rozwiewa się w miarę, jak człowiek zaczyna przystawać przy oknie z rękami założonymi z tyłu.

Stress bohatera ma — oczywiście — jakieś antecedencje. Wygrzebuje więc troskliwie z pamięci owych siedem zdarzeń, które zaważyły na jego życiu. Nie zdając sobie sprawy, jak dalece są one przypadkowe, niby przedmioty znalezione na śmietniku, według znanego nam już sposobu strukturalizuje swą osobowość

i życie. W nie wysłanym liście do przebywającego za granicą brata, któremu się powiodło i którego świetny los wydawał się prostym rezultatem świadomego zamierzenia, próbuje bohater odnaleźć wyższe znaczenie wszystkiego, czego doznał i co zepchnęło go w obecne położenie. Chce widzieć i widzi w tym wszystkim głęboki sens, logikę i planowość. Nie wiadomo, czy na ołtarzu braterskiego sukcesu, czy też owego głębszego znaczenia składa z siebie ofiarę podejmując akt moralnego samounicestwienia i zupełnej degradacji. Psychoanalityczna spowiedź i zastosowana przez Dygata psychologia, wyprzedzająca dopiero teraz u nas rozpowszechniającą się koncepcję egzystencjalnej psychiatrii Viktora Frankla przemożności potrzeby sensu w ludzkiej egzystencji — są zbieżne z fabularną rolą epistoły do nigdy nie kochanego brata. Bohater mentalnie musi zejść na dno swych piekieł, odnaleźć za wszelką cenę zasadę znoszącą przeciwieństwa, jakie obie — jego i brata — egzystencje stanowią, upokorzyć się najgłębiej, niemal przekreślić własną osobowość, żeby trafić na pomost dający szansę wyjścia z fatalnego stanu, odmienić choćby na krótko los czy jak tam się to nazywa.

Prywatna czy osobnicza mitologia, jaką stwarza sobie bohater, nie jest specjalnie spójna czy wynalazcza, ale jest dostatecznie uniwersalna, by mogła służyć wielu podobnym osobnikom z naszego kręgu kulturowego i doświadczeń historycznych, skoro została zartykułowana. Jest aktualna (epizod z wygnaniem z ogródka w Sopocie wywołuje emocje podobne do sprawdzenia dokumentów na granicy) i sięga archetypicznie w zsakralizowaną przeszłość kulturową (przeszachrowane pierworództwo i wygnanie z raju). Trafia w sedno paranoidalnych postaw ludzkich spotęgowanych warunkami.

Wspólną cechą siedmiu zdarzeń formujących charakter i usposobienie bohatera, tworzących niby siedem kręgów jego prywatnego piekła, jakkolwiek się one nazywają: utratą centralnej pozycji w rodzinie, wygnaniem z raju, zawodem w przyjaźni, pierwszą porażką erotyczną, bankructwem rodziny pociągającym bankructwo marzeń o wyborze studiów i podróżach, rozminięciem się z cudzym uczuciem i bezceremonialną inicjacją seksualną — była degradacja osobowości. Ich liczba w istocie nie jest zamknięta, nie tworzą one ani ciągu, ani postępu. Są układem zawdzięczającym istnienie — powtarzam — paranoidalnej dążności porządkującej, w której tylko kierunek jest ważny, kwalifikacja jest przydana. Nie jest jednak wykluczone, że autor świadomie porządek owych wydarzeń zmaćił. Bohater uznawszy wewnętrznie przewagę młodszego brata usiłuje przede wszystkim zmienić

bieg swego losu przez wyjazd za granicę. Skoro czasu nie można zmienić, chce zmienić przestrzeń. W tym chyba widzi klucz do gry o siebie innego. Przekroczenie granicy, a więc odzyskanie prawa do rajy jest — zdaje się — punktem przełomowym, po którym bohater może odblokować pozostałe zatory psychiczne. Bez trudu uwolnić się od narzucającego swą wolę przyjaciela, wyzwolić od kompleksu niższości wobec brata, rozegrać swobodnie miłość i wciągnąć dzięki jej zahamowanym tęsknotom partnerkę do wyreżyserowania niuansów pierwszych poruszeń serca.

Z pozorów wszystkie prawie owe zajścia mają tło psychiczne; jeśli wszędzie weźmie się pod uwagę, jak w życiu bohatera w zasadzie jest mało indywidualnego, wypadnie je nazwać psychospołecznymi, choć zapewne i ograniczyć do doświadczeń pokolenia lub raczej autystycznej świadomości pokolenia. W tym zaś ujawnia się na pewno działający na czytelników powieści, poszukujących sensu w życiu bohatera czy własnym — terapeutyczny charakter przygód narratora-bohatera i — być może — autoterapeutyczny zabieg narratora-autora. Wirtualny — jak się uczenie dziś powiada — czytelnik, bohater-narrator w pewnej płaszczyźnie losów historycznych (osiem wydań w ciągu lat 1958—1973), zdaje się to przypuszczenie potwierdzać.

I to nie tylko u polskich czytelników, ponieważ do 1970 r. przełożono *Podróż* na czeski, estoński, francuski, niemiecki (dwukrotnie), rosyjski, serbochorwacki, węgierski, włoski, słowacki, bułgarski i łotewski.

Spotkanie bohatera-narratora z autorem-narratorem następuje w punkcie jakby symbolicznie tworzącym granicę między ustrojami. Choć są z tego samego kraju, należą z racji swej kondycji społecznej do innych okresów w życiu tego kraju.

Generalną trudnością psychiczną bohatera przed wyjazdem za granicę była konieczność obrony przed naporem marzeń, może mało sprecyzowanych, ale tym dokuczliwszych, bo trwale zaprzeczanych przez kondycję urzędnika. Gdy świat i jego szanse dzięki szczodropliwości brata stają otworem, w tej faustycznej wędrówce nieodzowna staje się obrona marzenia przed najbardziej kolorytą rzeczywistością. Wybija się to ponad pierwotną gorzką refleksję,

że jeżeli życie się człowiekowi nie udało, jeżeli popełnił szereg błędów, które wykreśliły mu taki, a nie inny los, to wszystkie próby szukania sobie zadośćuczynienia czy choćby chwilowego wytchnienia muszą obracać się przeciw niemu, pogarszać muszą jego sytuację. Jeżeli więc ktoś życie sobie zapaskudził, niech siedzi cicho, spokojnie i pokornie, niech poddaje się złemu losowi. To jest w końcu maksimum tego, co może w życiu osiągnąć.

Powieść zmierza do swego finału, ale mimochodem bohater dokonuje szeregu ważkich spostrzeżeń. I tak dochodzi do przekonania, że

człowiek przeżywa w swoim życiu tylko jedno zdarzenie, które toczy się różnymi kolejami i nie kończy się wcale ani dobrze, ani źle, jeżeli nie brać pod uwagę śmierci, co już jest inną sprawą, jak zupełnie inną sprawą byłaby dyskusja, czy śmierć to dobry, czy zły koniec.

Przekonanie o tym nasuwa mu rola sztuki w życiu ludzi. Kino dostarcza złudy, że życie ludzkie układa się w sensowne sekwencje. Więcej, wpaja przeświadczenie, że celem istnienia powinno być możliwie najefektowniejsze rozegranie własnej roli, wyrażenie siebie, choć coraz to węższa scena między tym, co stanowi złoża wmówień społecznych i determinuje osobowość — a tym, czego od człowieka wymagają społeczne sytuacje jego istnienia. Nie pozbawione słuszności spostrzeżenie daje bohaterowi zaznać poczucia przewagi nad bratem, uwikłanym w życie i twórczości w proces rozrastającej się złudy, od której musi szukać wytchnienia u prostytutki Zity. Bohater jednak, a i Dygat, nie dostrzegli, że winę, którą obarczają film, da się także przypisać równie zasadnie literaturze. Być może film jest środkiem masowego zniszczenia, ale popularność nie jest ostatecznym argumentem przeciw sztuce filmowej, jak przeciw literaturze powszechnej — umiejętność czytania i dostępność książek.

Świadomość złudy, w której błakamy się niby dzieci po przedeptanych ścieżkach, nie pozbawia nas miłości do siebie samych. Bohater powodowany nią decyduje się raz jeszcze rozegrać swe zdarzenie życiowe reżyserując je na Capri. W owej reprzyzie nie brak sytuacji-replik wobec pierwotnie przeżytego zdarzenia (epizod ze zjedzeniem ślimaka).

Przed ostatecznym bankructwem chroni go wycofanie się z fałszywej gry partnerki. prostytutka Zita lepiej rozumie, co składa się na życie. Ona chroni od roztrwonienia resztkę marzeń i marzenie godzi bohatera z rzeczywistością. Posiadaczami prawdy, że życie może wydać się zupełnie przyjemne, jeśli zdobędziemy się wobec niego na odrobinę zyczliwości — stali się bohater i autor.

Angielski tytuł przekładu *Disneylandu* Dygata — *Cloac of Illusion* (David John Welsh, Cambridge, Mass.—London: The MIT Press 1968) nadał dziełu, być może nawiązując do odpływającej już fali nastrojów w literaturze angielskiej, znamień gniewu i buntu, którego brak w polskim tytule, eksponującym bez irytacji tylko kiczowaty charakter złudzeń, jakich masowej publiczności

dostarcza powszechnie znany producent filmu i rozrywki. Nawiązuje w tym względzie Dygat do refleksji bohatera-narratora *Podróżu*, zamykając czytelnika w kręgu rozważań tam zainicjowanych.

Trudno — rzecz prosta — dociekać, jakie są źródła *Disneylandu*. Nie będzie natomiast chyba zawierał ryzyka pogląd, że i tym razem — jak bodaj w każdej twórczości pisarskiej — powody osobiste splotły się ze społecznymi.

W osobistych godna zauważenia wydaje się idea sformułowana w poprzedniej powieści, że w istocie człowiek przeżywa w swoim życiu tylko jedno zdarzenie, które toczy się różnymi kolejami.

To spostrzeżenie, być może przypomniane z okresu psychologicznych zainteresowań literatury dwudziestolecia międzywojennego, kiedy to zostało utrwalone w tytule ówczesnego debiutu powieściowego Stefana Otwinowskiego: *Życie trwa cztery dni* — jest zarazem zapowiedzią zagęszczających się ostatnim czasem w dorobku Dygata powieściowych reinterpretacji zdarzeń znanych już w jakiejś wersji jego czytelnikom.

Z debiutu powieściowego Dygata oraz jego biografii wiemy, że sport w jego zainteresowaniach odegrał znaczną rolę. Był niemal osobistą alternatywą losów jego samego i bohatera, co wydaje się naturalne, jeśli pamiętamy, z jaką siłą wtargnął w życie zbiorowe i kształtował pokolenia międzywojennej młodzieży. Rysowała się nawet wtedy antynomia sportu i kultury, korespondująca z ogólniejszą: natury i kultury czy cywilizacji. Stąd wszakże daleko było do idei ustanowienia opozycji w łonie kultury: sport jako rzeczywisty realizator, nawet regulator wartości, na jakich społeczeństwu może zależeć — i cała reszta kultury masowej jako ich fałszerz. Wprawdzie w takim rozumieniu obie dziedziny łączą umowność reguł, ale nawet w masowej praktyce sport daje szanse wznoszenia się ponad nie, umożliwia ekspresję osobowości, jest podstawowym warunkiem prawidłowego rozwoju i zdrowia, stawiając uprawiającym go wymagania, których zamarkować nie można i — mimo pozorów — wydaje się systemem nie zamkniętym. Znamię otwartości nadaje mu niespodzianka rezultatu. Sport również nastawia swych adeptów ekstrawertycznie, gdy większość form kultury masowej — intrawertycznie i destrukcyjnie, deprawującą na potencjalną osobowość. Szczelina, w której może się ona manifestować między złożami umowień społecznych a konkretnymi sytuacjami ludzkiego porozumiewania się, zostaje zasypana śmieciem natrętnych stereotypów. Nadto zaś kultura masowa — której najwłaściwszym przykładem może być według Dygata film — wpaja przekonanie, że życie jest

uporządkowaną sekwencją zdarzeń o *crescendo* wzrastającej wzniosłości, że je samo winno się strukturalizować na podaną modłę, co w relacjach między sportem a życiem możliwe jest tylko w niewielkim stopniu. Można by rzec, że kultura masowa ugruntowuje przede wszystkim to, co w zachowaniach ludzkich jest rezultatem popędu naśladowczego.

Zespół przedstawionych tu poglądów na rolę sportu w życiu jednostki i zbiorowości, przypisany Dygatowi, wspomniane antynomie pobrzmiewające myślami Nietzschego, wahającego się w ocenie znaczenia zdrowia i choroby w artykułowaniu idei, i potocznymi liczmanami starożytnej maksymy: *sana mens in corpore sano*, należą już właściwie do przeszłości. W samym sporcie, jeśli nawet nie brać pod uwagę z punktu widzenia sprawności masy kibiców-, „łamałów”, ostro zaznacza się opozycja między przeciętnymi wyczynowcami a mistrzami, których znów katorzniczo niemal śrubowane rezultaty tak minimalnie, dla widza niemal niedostrzegalnie, różnią, że na powrót ich wysiłek interioryzują. Wzorcowi odbierają cechy uniwersalnego i otwartego wzorca. Z tym wszystkim można by w poglądach Dygata upatrywać próbę przewyciężenia przejawów łatwej skłonności do sentymentalizmu czy melodramatyzmu w przeżyciach mas.

Bohater *Podróży* osiągnąwszy krytyczne rozeznanie w roli kina i filmu dostrzegł osobistą szansę rozprawienia się z własną mitologią. Odpowiednio ustrukturalizowane niepowodzenia życiowe, wyolbrzymione przewagi brata, acz i jego — jak się okazało — mniemana suwerenność i rzeczowość nie uchroniły od ugrzęźnięcia w iluzji i roli producenta iluzji dla innych — unieвозмоżliwiały Henrykowi nawiązanie kontaktu z rzeczywistością. Mimo owej świadomości, dającej mu przewagę nad przygodnie dobraną partnerką Zitą, nie potrafił się wywikłać ze swej mitologii. Raczej doznając goryczy klęski skapitulował; pociechę zaczerpnął ze zmniejszenia jej rozmiarów. Nie zdołał jej uniknąć, ponieważ w swoich niejasnych marzeniach o wyrazistej osobowości i rozległych możliwościach życia nie potrafił do końca odróżnić wartości istotnych od błahych. Desperacko porwał się na reżyserię mitu pierwszej miłości i Capri, korekty nieudanych zdarzeń swego życia, nie zdając sobie — czy nie chcąc zdać — sprawy, że należą one do kategorii wzmówień, że dla osobowości nie mają znaczenia.

Podróż Dygata — wbrew krytycznym uwagom Błońskiego — zręcznie rozegrała problematykę nurtującą zbiorową podświadomość. Jak słusznie to docenił Maśliński — za pomocą własnych środków i na miarę własnego talentu, nawiązując do takich

mistrzów jak Irzykowski i Gombrowicz — Dygat zdezaktualizował w swej powieści powszechne w szerokich kręgach pozorne wartości. Leczył społeczeństwo. Dzięki swoistemu rozumieniu mechanizmów życia psychicznego sprawom stosunkowo partykularnym nadał na tyle uniwersalny charakter, że co najmniej obejmujący obszar demokracji ludowych, gdzie też jego powieść przede wszystkim była tłumaczona. Wreszcie raz jeszcze postawił w niej Dygat — i to mogło ważyć na powodzeniu powieści — doniosły w kulturze naszego kręgu problem erotocentryzmu.

Młodość, sport, miłość, bunt — to zapewne sprawy z rejestru przyciągającego od lat i przez lata jeszcze młodych czytelników, ale tego tylko nie starczyłoby chyba na wciąż utrzymujące się, potwierdzone pięcioma wydaniem, upodobanie ich w *Disneylandzie*. Uprzedzając nieco dalsze wywody powiedzieć można, że jeśli *Jeziro Bodeńskie* było opóźnioną przez wojnę spowiedzią dziecięcia okresu międzywojennego, w pełni aktualną — w momencie gdy się ukazał — stał się *Disneyland*.

Wiele okoliczności, z których wymienić należy fundamentalną rewolucję ustrojową z jej rozległymi skutkami: poprawą i stabilizacją warunków życia, wzrostem populacji, demokratyzacją oraz emancypacją kobiet, uznaniem się w jestestwie swoim młodości i przewrotem seksualnym, postępującą laicyzacją i rozwojem masowych środków komunikacji — dotąd powoduje dezorganizację w świecie wartości. Łatwiej osiągnąć w nim można jedność polityczną czy jej deklarację. Jedność moralna wymaga lat i kształtuje się w walce przeciwieństw, wśród wahań dostrzeganych zresztą w różnych dziedzinach, np. w stosunku do pracy, do rodziny i jej roli, do własności indywidualnej i społecznej, do kobiet i ich udziału w pewnych sferach działania zbiorowego. Wśród rozpadających się, nie uprzątniętych i rodzących więzi i struktur niełatwa jest sytuacja indywidualnego aspirującego do zmanifestowania swej osobowości podporządkowanej wartościom trwałym, skoro szeroko otwarto przed nią szanse.

Nawykowo i pod naciskiem natury młodzież zawsze była skłonna uważać stany związane z przeżyciami erotycznymi za szczególnie cenne, a cóż dopiero, gdy uznana się i uznana została w jestestwie swoim za część najważniejszą egzystującego rodzaju ludzkiego. Ma za sobą całe wieki kultury, sztukę i literaturę, którym to samo źródło, szczególnie w naszym kręgu, dostarczyło stánowczych podniet. Gdy wśród starszych w naturalny sposób działanie owego źródła jest osłabione, a specyficzne warunki egzystencji ostatnich pokoleń przyczyniły się do przewrotu seksualnego, neurotyczne lęki epoki skłaniały przecie do poszukiwania

miłości pod nieco innym imieniem jako szansy ludzkiego porozumienia, wyzwalającej z poczucia zawinionej przez generację poprzednie alienacji. Była to dodatkowa motywacja, nie licząca się z faktem, że sytuacje znoszące tabu w sprawach płci nieuchronnie zmniejszają kulturotwórcze działanie tego źródła pogłębiając egzystencjalne rozczarowanie.

Bohater *Disneylandu*, Marek Arens, jest sportowcem osiągniętym w swej dyscyplinie wyróżniającym się go wyniki, stawiającym u szczytu zawodniczej kariery. Przymuszony w dzieciństwie do uprawiania sportu przez sfrustrowanego „łamagę” ojca, lokującego w synu nadzieje na sukces, potem przez trenera, któremu nie powiodło się jako zawodnikowi, zdaje sobie sprawę z kompensacyjnych źródeł powszechnego zainteresowania tą dziedziną i nawet ze znaczenia kompensacji w jego osobistym życiu. Dlatego sportu nie absolutyzuje, nawet go nie lubi, jak nie lubi jego zagorzałych zwolenników. Uważa go tylko za coś w rodzaju niezbyt rygorystycznie traktowanej szkoły życia. Osiągnąwszy stosunkowo niezależną pozycję jako architekt i jako zawodnik, chciałby *per ludum et jocum* — na własny rachunek realizować swą osobowość, poszukując wartości, jakim zgodziłby się podporządkować. Autor nie obciążał go nadmiarem lektur czy pretensjami intelektualnymi, ale nie pozbawił jego życia wewnętrznego intensywności. To prawda, że w życiu bohatera nie ma miejsca na działalność polityczną czy społeczną. Jest więc chyba w tym wszystkim podobny do znacznego odłamu współczesnych młodych ludzi, skłonnych — nim w cokolwiek się zaangażują — do rozpoznania przede wszystkim reguł gry.

Wydostawszy się dzięki pomocnej ręce trenera z gruzów rozbitego domu rodzinnego, którym mógłby gardzić, gdyby rozbitcie rodziny nie było zjawiskiem powszechnym, niejako wyposażeniem każdego młodego człowieka, nauczył się bohater balansować między porażkami a sukcesami zachowując tolerancyjną pogodę i równowagę ducha. Ten młody człowiek jest krytyczny, ale nie gniewny, nie pała chęcią osobistej naprawy świata. Nie mitologizuje nadmiernie życia, nade wszystko obcy mu jest dostojny bzik tragiczności. Jeśli w końcu popełnia czyn mający takie znamiona, to jest to tylko jednostkowy akt solidarności ze skrzywdzonym przyjacielem i rozrachunek z sobą samym. Z zaatakowaną tak brutalnie osobą, noszącą towarzyski pseudonim Fiat 1100, zetknęło go jedynie pośrednio poczucie winy spowodowane nie dającą się już odrobić nielojalnością wobec mężczyzny beznadziejnie — aż po samobójczą śmierć — lokującego swą potrzebę miłości w prostytuującej się kobiecie.

W doświadczeniach seksualnych, których bohater powieści doznaje, jak większość młodzieży, ale od których przedstawiania wstrzymuje się autor, sporo współczesnego promiskuityzmu, z pozoru przeciwdziałającego zahamowaniom i rozpraszaającego mitologiczną otoczkę wokół spraw płci, zdawałoby się jedynie nastawionego na egzystencjalne porozumienie. A jednak bohater nie może uniknąć owego spiętrzenia energii, które mu każe uporczywie dążyć do identyfikacji nastroczających się obiektów miłości z wyobrażeniem, póki nie nastąpi ostra redukcja, po której każda kobieta równa się takiej, jak Fiat 1100. Pisarz przecie nie sięga w rejestry tragiczne, ani przez chwilę nie posługuje się patosem. Niemal ta sama sprawa w *Straconej nocy* Iwaszkiewicza zyskuje wymiar metafizyczny. W ujęciu Dygata, zrzekającego się programowo takich implikacji, bohater i jego czytelnik mają szansę przezwyciężenia obsesji miłości, gdy Iwaszkiewicz z dwuznaczną satysfakcją ją ugruntowuje, chyba jako dziedzic okresu, w którym po wyprawach w te dziedziny obiecywano sobie wstrząsy metafizyczne i rewelacje egzystencjalne. Ostatni to — być może — męski krzewiciel złud epoki minionej.

Bohater *Disneylandu* stosunkowo i tak drogo płaci za zrozumienie kobiecej postawy w tych sprawach. Z przebiegu narracji wnioskować można, że nie grozi mu jednak — jak i jego młodym admiratorom w rzeczywistości — jakieś szczególne zbrutalizowanie stosunków między dwiema płciami. Po prostu ta sfera życia — poza kurczącym się zresztą okresem inicjacji seksualnej, w warunkach likwidujących bariery i zahamowania osobnicze mężczyzn — przestanie być mitotwórcza. Dygat jak pogodny moralista posługując się dowcipnym paradoksem i półtonem z życzliwością przedstawia młodego, szarpiącego się jeszcze w sieci złudzeń, człowieka, który niby Piotruś Pan nie chce być dorosłym. Nie demonizuje Dygat miłości, nie rozdziera szat. Z uśmiechem wyznaje tezę o nieuchronności efektów współczesnego życia zbiorowego w tej dziedzinie, jak tragicznie lub melancholijnie Faulkner głosi nieuchronność wymieszania się ras ludzkich: czarnej i białej, pod tyłoma względami obecnie przeciwstawionych sobie i toczących walkę. Z pozoru osobliwe zestawienie tych dwu pisarzy usprawiedliwione jest o tyle, że i Faulkner sceptycznie oświeśla jeden z głównych mitów białego człowieka, wyhodowany przez chrześcijaństwo, dając w *Azylu* współczesną i amerykańską wersję wątpliwości Woltera, czy Stwórca był doprawdy wysokiego mniemania o cnocie, skoro ją umieścił w tak fatalnym miejscu.

Realistyczna teza, że akt seksualny równa się wypiciu szklanki wody, sformułowana została stosunkowo niedawno, ale kobiety

holdowały jej chyba od wieków. I nie jest to prawdopodobnie skutkiem ich wiekowej dyskryminacji, ich poniżonej pozycji w społeczeństwach patriarchalnych. Ktoś zauważył, że nie znamy wprawdzie dokładnie kultur matriarchalnych, ale nie wygląda na to, by wytworzyły one trwałe, zobiektywizowane w sztuce wartości. Dotyczy to także sfery uczuć erotycznych. Kobiety okazywały w tej dziedzinie zdumiewającą trzeźwość, najfałszywiej rozumianą przez mężczyzn. Na swój sposób zainteresowane były w większej mierze i zaprzątnięte skutkami prokreacyjnymi. *Praetium affectionis*, ustanowiona przez mężczyzn na stosunki obu płci, skłaniała do różnych form spekulacji pożądaną wartością. I dziś przecie w ogromnej mierze kobiety zwołnione z nacisku ekonomicznego notorycznie nią spekulują. Cenę podbijali sami mężczyźni wysubtelniając jakości. O ileż jednak nasza kultura byłaby uboższa, gdyby nie karmiła jej ich złuda. Jak ktoś żartobliwie powiedział, kto wie, czy powstałaby liryka trubadurów, gdyby istniały wtedy telefony.

Dygat nie wyposażył swego bohatera w pełną świadomość krytycznego punktu w kulturze na tym odcinku. Raczej bohater zwierza się z kryzysu osobistego. Kobiety w najgorszym razie obarcza winą za to, że najswobodniej manipulują mężczyzną. Może jeszcze i tym, że dysponując możliwością rozładowania napięcia w partnerze nie cofają się przed trywializacją zbliżenia miłosnego, nie obawiają się go. Nawet przeciwnie, stany partnera *post coitum* uważają za najwłaściwszy moment, by wkroczyć na tak długo, jak zechcą — w jego życie intymne z całym bagażem przyzwyczajęń i spraw wprawdzie nie urojonych, ale nie wartych uwagi. Dzieje się to zaś tym łatwiej, że w mężczyźnie — być może archetypicznie — zakodowane są dwa marzenia o partnerce: kumplu i matce.

W dobie kultury masowej licznie reprodukującej wzorce, narzucającej konwencje zachowań, nawet najbiedniejsi duchowo dysponują bogatą rekwizytornią masek dających złudzenie osobowości. W przyswajaniu mody i konwencji lokują swe osobnicze aspiracje przede wszystkim kobiety, nie rezygnując z dawnych sposobów manipulowania partnerami. Celem tego jest osiągnięcie — być może także w interesie potencjalnego potomstwa — życiowego komfortu i bezpieczeństwa, zapewnienie stałego i dającego sobą powodować partnera.

Centralna w powieści historia z Agnieszką jest banalnie modelowa. Zaczyna się od *coup de théâtre*, rozbudzającego marzenia Marka — i rytuału zachowań podniecających je. Wysoki efekt inicjalny powoduje kłopoty psychiczne Agnieszki z dostrojeniem

się do diapazonu partnera, według znanego nam mechanizmu zachowań psychicznych, odsłoniętego przez Dygata w *Jeziorze Bodeńskim* w scenie między Roulotem i Renée. W trakcie owych wahań Agnieszka decyduje się na zaspokojenie partnera, po którym daje on sobą powodować stając się podatny na przyzwyczajenia, skądinąd nawet pożądane, gdy poczyną uczęszczać na nie interesujące go dotąd koncerty. Agnieszka szybko przedzierzgnąwszy się z kochanki-kumpla w kochankę-matkę próbuje zagospodarować się — być może nieobowiązująco — w świecie partnera, do czasu gdy na horyzoncie pojawi się inny, dający więcej rękojmi komfortu i bezpieczeństwa partner. Wtedy porzucanemu Agnieszka zręcznie podsuwa Helenę obciążywszy go winą zdrady. Podobnie przemienne maski przybierają inne kobiety z galerii *Disneylandu*: Alina, Helena i nawet najnowocześniejsza z nich Dorota, stosunkowo najudatniej, ale za cenę pewnych upokorzeń, łącząca rolę kochanki-kumpla i kochanki-matki.

Wszystko to można by uznać za przejaw współcześnie odżywiającego w literaturze, upoważnia do tego także zakończenie fabuły — mizoginizmu, gdyby nie fakt, że idealistyczna otoczka stosunków między kobietami a mężczyznami w powieści Dygata zawiera znacznie mniej — tak też jest w życiu dzisiejszym — w porównaniu ze sztuką i literaturą średniowiecza, baroku, romantyzmu czy modernizmu — jadowitych treści. Łagodzona jest bowiem wspomnianą łatwością stosunków seksualnych. Nie spiętrza się więc tragicznie. To, co w postępowaniu bohatera, jego odczuciach i refleksjach wskazuje na pogoń za wartościami heroicznymi: wiernością, lojalnością, walką — rozgrywa się w sferze niedostępnej kobietom.

Może wydawać się dziwne, że w końcu antyfeministycznego ekscesu dopuszcza się na Fiat 1100 narrator, który w swej zasadniczej postawie daleki jest od dyskryminacji drugiej płci, który tylko — jak Don Kichot, gdy wyprowadzono go boleśnie z urojenia, zatraskujący przyłbicę — broni swego prawa do nieistniejącej Jowity. Weźmy wszakże pod uwagę, że kompleks niższości czy też nadmierny krytycyzm wobec samego siebie (u bohaterów Dygata powodują go nadmiernie rozwinięte uszy) najwyżej każe mu cenić partnerkę wychodzącą ku niemu w pół drogi. W tym dopiero widzi Marek Arens potwierdzenie swej psychofizycznej osobowości. Zakłada więc jakiś pozytywny stosunek do emancypacji obyczajowej kobiety, równe jej prawo w miłości. Tyle, że w tym także tkwi jego sentymentalizm czyniący go bezbronny wobec agresji Heleny czy Doroty. Wyjście w pół drogi okazuje się tylko prowokacją, w istocie mężczyzna

zabiega o równość w miłości, w obszarze mitu, który sam stworzył i któremu się poddał.

Uświadomiony puerylizm narratora, śmiesznie wikłającego się w stworzonych przez siebie więzach, jest chyba trafnie przez pisarza podchwycony jako zamię czasu. Rokuje to przewyżczenie go wśród współczesnej młodzieży. W dobie fanfar emancypacji kobiet, w istocie dominujących — Dygat nie przeciwstawia się nieuchronnemu procesowi, uprzytamnia tylko ważny i nie dostrzegany aspekt zjawiska. Mniejsza o to, że przedstawiona w powieści rzeczywistość oddaje męską niedojrzałość w traktowaniu spraw płci, obnaża jej model powszechnie i bezkrytycznie — mimo zmian zaszłych w życiu społecznym — powielany w sztuce masowej. Gdyby to nie brzmiało nazbyt patetycznie, należałoby powiedzieć, że Dygat walczy o wyzwolenie mężczyzny. Domaga się jakby stref podziału aktywności każdej płci i oswożenia z pęć mitologii, w którą mężczyzna sam siebie zaplątał. Bohater z trudem wyzbywa się kompleksów i zahamowań wynikłych z dzieciństwa w rozbitym domu rodzinnym, z oziębłości matki, z redukcji miłości przez partnerki, ale przede wszystkim pragnie wśród ogólnej maskarady, w której każdy chce uchodzić za kogoś innego, ocalić swe prawo do podporządkowania życia nadrzędnym wartościom. Sport wszczepił mu zrozumienie, że z rygoru i dyscypliny, narzuconej lub przyjętej świadomie, bierze się cenna część naszej osobowości, choć sam zdobywa się tylko na niedojrzały gest.